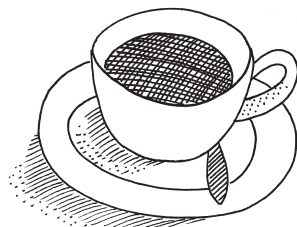
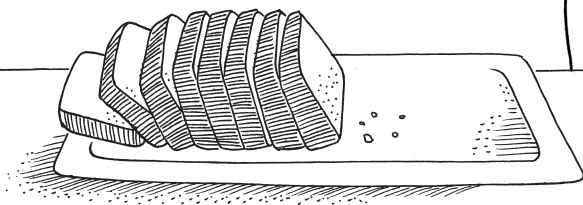
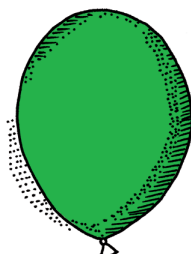


Żyj i pozwól żyć

Hendrik Groen



ALBATROS

– Robię w papierze toaletowym.

Tak brzmi moja mało dowcipna odpowiedź, jakiej od dwudziestu trzech lat udzielam na pytanie, co robię zawodowo. Tak długo bowiem pracuję w hurcie środków czystości i papieru toaletowego. Trzydzieści sześć godzin tygodniowo. Od poniedziałku do czwartku włącznie od 8.00 do 17.45 z czterdziestopięciominutową przerwą w południe. Z tego dwadzieścia minut poświęcam na zjedzenie kanapek i jabłka, a potem robię sobie dwudziestominutową przechadzkę po terenach przemysłowych w Breukelen. W połowie drogi stawiam sam sobie w charakterze deseru kroieta cielęcego w Fryta od Pieta. Sam Piet od lat już nie żyje. W pewien pechowy dzień dostał ataku serca i padł twarzą w witrynę, między sałatki jarzynowe i kroiety. Jedynym obecnym wtedy klientem był akurat polski kierowca tira. Natychmiast zadzwonił pod 112, ale nie znał ani słowa po niderlandzku, a dyspozytorka nie mówiła po polsku. Czyli nie za dobrze się złożyło. Kiedy karetka przyjechała w końcu po trzydziestu pięciu minutach, nic już nie można było dla Pieta zrobić. Firmę przejęła jego

żona Trees. Szkoda, że nie miała na imię Jeta. „Krokiety od Jety” byłyby jak dla mnie całkiem przyjemną alternatywą. Bo szczerze mówiąc, trochę mi przeszkadza, że na dachu wciąż jeszcze widnieje wielka tablica z napisem *Fryta od Pieta*. Trees powiada, że to w hołdzie dla męża. Słowo „hołd” nie bardzo do niej pasuje. Oczywiście do Pieta też nie.

Pięć minut przed zakończeniem przerwy na lanch siedzę z powrotem przy biurku i przeglądam maile pod kątem nowych zamówień.

Przy biurku naprzeciwko pracuje Berend, który mówi o sobie, że jest w firmie finansistą. Wysyła rachunki. Parę metrów dalej siedzi Marieke, sekretarka dyrektora. Sam dyrektor, pan Hertog, ma własny gabinet z biurkiem z drewna orzechowego. Kiedy przychodzą z wizytą nowi klienci, przejeżdża dłonią po biurku i mówi:

– Ładne, co? Prawdziwe drewno orzechowe.

Było to kiedyś biurko jego ojca, pana Hertoga seniora, który zjawia się jeszcze w firmie raz w tygodniu, żeby ostentacyjnie patrzeć w swojego iPhone’a, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie, niby mam już osiemdziesiątkę, a jednak idę z duchem czasu”.

W piątek mam wolne. Chodzę wtedy na golfa z trójką najlepszych kumpi.

mieszkam w Purmerend, w skromnym szeregowcu z lat osiemdziesiątych. Dom został zbudowany w czasach, kiedy bardzo modne były podwórka z zakazem parkowania samochodów.

Moja żona Afra była wtedy zachwycona.

– Za parę lat dzieciaki będą mogły bezpiecznie bawić się na dworze – mówiła.

Tylko że z dzieci nic nie wyszło. Przez całe lata na próżno robiliśmy, co w naszej mocy.

– Nasze życie seksualne jest nacechowane pewnym napięciem – powiedziała u terapeuty.

Już same te dwa słowa sprawiły, że stałem się impotentem. Afra jest jedyną znaną mi osobą, która mówi o „pożyciu seksualnym”. W dodatku musieliśmy potem robić wszystko według kalendarzyka i termometru.

– Tak właściwie, coś takiego raczej zabija życie seksualne – zwróciłem się do terapeuty.

Mojej żonie opadła szczęka.

Terapeuta pokiwał w zamyśleniu głową. To kiwanie głową było jego najcenniejszym wkładem w nasze sesje. Obliczyłem kiedyś, ile przychodzi mi płacić za jedno takie kiwnięcie, i nie byłem specjalnie zadowolony.

Po paru latach męczarni badanie pokazało, że coś jest nie tak z jajeczkami Afry i że nie może mieć dzieci.

Tym samym główny powód, żeby mieszkać w miarę tanio w Purmerend i mieć wolne od samochodów podwórko pod oknem, przestał mieć znaczenie. Zaproponowałem parę razy, żebyśmy się przeprowadzili do Breukelen, gdzie też mają ładne szeregowce, a ja miałbym co najmniej godzinę bliżej do pracy, ale Afra nie

była zachwycona.

– Kiedy ja się już tak przywiązałam do Purmerend, skarbie – mówiła.

– Przywiązałam, przywiązałam! Co to znowu za słowo? Przecież ja nie mówię, że się przywiązałam do Breukelen – zaprotestowałam.

– I to jest właśnie powód, dla którego wcale nie musimy się tam przeprowadzać, tylko możemy dalej tutaj mieszkać.

Sam sobie strzeliłem w stopę. Opuściłem i już dwudziesty trzeci rok cztery razy w tygodniu jeżdżę rano z Purmerend do Breukelen, a wieczorem z Breukelen do Purmerend.

3

Ogólnie rzecz biorąc, to nie mam zbyt wielu prawdziwych kumpli. W zasadzie tylko trzech: Stijna, Joosta i Woutera. Znam ich od szkoły średniej. Dzieliliśmy ze sobą dobre i złe, a czasem też dziewczynę.

Przez ostatnie lata dzielimy głównie piątki. Wtedy idziemy od czasu do czasu na golfa. W zeszłym tygodniu Stijn skonstatował, że są to zawsze „wyjątkowo przyjemne piątki”.

– Niespecjalnie podniecające określenie, kolego – stwierdził Joost.

Stijn, nauczyciel niemieckiego w liceum, nadal, tak jak to było dawniej, jest najgrzeczniejszym chłopcem w swojej klasie. Jest tak bardziej na doczepkę w tym naszym golfowym towarzystwie. Tolerujemy go, bo jakoś tak był od zawsze. Bardziej przyjaciel z przyzwyczajenia niż z przekonania.

Różnica między nim a Joostem, który w ogóle nie jest grzeczny, wydaje się ogromna. Joost jest adwokatem i ma rozliczną klientelę składającą się z oszustów, defraudantów i przestępców w białych kołnierzykach. Doskonale pasuje do swoich klientów i z pewnością nie poprzestał na pierwszym kłamstewku.

– W zasadzie jesteście jedynymi osobami, którym mówię prawdę – przyznał ostatnio. – Przynajmniej przeważnie. Zawodowo zajmuję się przecież głównie tym, jak naciągnąć prawdę, a jeśli to się nie udaje, staram się nie oddalać za bardzo od prawdy.

– A w stosunku do żony? – spytał Stijn.

– O, tutaj jestem absolutnie szczerzy i prawdomówny – odpowiedział Joost, puszczając do nas oko.

Stijn spojrział na niego lekko podejrzliwie.

– Taaa, akurat!

Joost to kombinator, któremu nieraz udało się przez to narobić sobie kłopotów, ale niemal zawsze udaje mu się z nich wyjść obronną ręką.

Wouter, mój trzeci przyjaciel, też nie jest idealny, ale u niego zawsze wszystko jest uczciwie. Ma firmę, która zajmuje się jakimiś rzeczami związanymi z informatyką. Kiedyś – wcześniej – próbowałem zrozumieć, co dokładnie robi, ale zbył moje pytanie, mówiąc, że „coś z programowaniem, i tak tego nie skumasz”, i istnieje duże prawdopodobieństwo, że miał rację. Wouter ma piękną żonę, piękny dom i piękny samochód, w takiej właśnie kolejności, jeśli idzie o ważność, i zawsze wygląda nienagannie w swoich drogich garniturach szytych na miarę. Co ważne, jako nieodzowny warunek jego sposobu życia: ma pieniądze. Ile dokładnie – na ten temat się nie wypowiada.

– Powiedzmy: wystarczająco – brzmi jego odpowiedź, gdy

ktoś go o to pyta.

A ja? Zawsze chciałem prowadzić ekscytujące życie na wysokiej stopie, ale z tych czy innych powodów nic z tego nie wyszło na tym moim osiedlu z ograniczonym ruchem samochodów w Purmerend i w hurtowni papieru toaletowego w Breukelen.

– Moim zdaniem jesteś po prostu za leniwy na emocjonujące życie – stwierdził tydzień temu Joost. – Albo za tchórzliwy. Albo jedno i drugie.

Miałem wielką ochotę zaprotestować, ale nic sensownego nie przyszło mi do głowy tak na poczekaniu. Nawet kiedy rozmyślałem nad tym przez parę dni, też nie mogłem nic wymyślić. Rzeczywiście jestem dość leniwy. I może nie tchórzliwy, ale jednak co najmniej bardzo ostrożny. Trochę mnie to gryzie.

4

„O zmarłych tylko dobrze albo wcale”, mówi się często, moim zdaniem z pewną dozą przesady. W krótkim czasie jeden po drugim umarli Johan Cruijff, David Bowie, Prince i Mohammed Ali, co czterokrotnie doprowadziło do czegoś w rodzaju ogłoszenia nowych świętych. Uważnie się temu przyglądałem, ale nie udało mi się odkryć niemal żadnego słowa krytyki w nieskończonym szeregu artykułów gazetowych i programów telewizyjnych poświęconych tym zmarłym znakomitościom. Za to za każdym razem pojawiały się tabuny samozwańcych przyjaciół, kadzących zmarłemu i opowiadających, jak to blisko byli za życia ze swoimi bohaterami.

Nie ma nikogo, kto by powiedział, że Cruijff, poza tym, że

był fantastycznym piłkarzem, był jeszcze apodyktycznym i zarozumiałym facetem. Albo że Ali był przede wszystkim głupi, że o wiele za długo boksował, przez co nabawił się parkinsona, a wszystko tylko dla kasy. Lepiej by zrobił, zachowując trochę z tych swoich przechwałek z najlepszych czasów na później, kiedy już przejdzie na rentę. Tymczasem wtedy nie umiał już nawet sklecić trzymającego się kupy zdania. Jakaś niewielka rysa na szlachetnym wizerunku Bowiego i Prince'a też pewnie by nie zaszkodziła.

Cruijffa często przyrównuje się do Boga, ale moim zdaniem takie porównania idą trochę za daleko. Znaczą: Bóg jest dobry, nie powiem, ale to jednak nie to samo co Cruijff.

Strasznie mnie ten wpis na Twitterze rozbawił.

Rzadko kiedy jestem smutny czy zaszokowany, kiedy umrze jakiś sławny obywatel tego świata, i raczej nie wybrałbym się, żeby położyć gdzieś kwiatki albo zapalić świeczkę.

I

– Czy ty jesteś szczęśliwa, Afra?

Moja przyjaciółka z jogi, Heleen, zaskoczyła mnie wczoraj tym pytaniem, kiedy akurat siedziałam w pozycji lotosu.

– Yyy... jak najbardziej, tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się czy wiesz? I co znaczy to „jak najbardziej”? Tak na osiem i pół czy raczej na sześć?

– Rany, Heleen, musisz akurat teraz? Właśnie staram się osiągnąć stan buddy – próbuję na wpół żartobliwie wyłgać się od odpowiedzi.

Na szczęście nie wróciła już do tego pytania. Ono tymczasem zagnieździło się w mojej głowie i nie chciało stamtąd wyjść. Przypuszczam, że już od lat unikałam tego pytania, a teraz, kiedy zostało postawione, nagle stało się bardzo palące.

Po paru dniach noszenia się z problemem nie pozostało mi nic innego jak tylko uczciwie przyznać: z dużym trudem dociągam do sześciu z minusem. Od czasu do czasu trafi się nawet jakiś dzień z siódemką, ale czwórki też się zdarzają. Może nawet to sześć z minusem nie jest tak do końca uczciwe. Pewnie po prostu uznałam, że to trochę przegięcie, żeby wystawić własnemu życiu ocenę niedostateczną.

Dawniej bywało lepiej.

Kiedy poznałam Arthura, byłam szczęśliwa. Także pierwsze kilka lat w Purmerend było całkiem fajne. Nie mieliśmy żadnych zmartwień i jeździliśmy na ciekawe wycieczki. Na przykład do Egiptu albo Meksyku. Chociaż zdarzało się czasem, że mieliśmy pecha. Na przykład okradziono nas w Mexico City i przez wiele dni musieliśmy czekać na nowe paszporty. A w Egipcie się pochorowaliśmy.

Od tego czasu dostałam lekkiej paranoi na punkcie podróży. Trochę mnie złości, że nawet po latach mi nie przeszło. Mimo że jestem ubezpieczona przed wszystkim, przed czym można się ubezpieczyć. Czy może człowiek ubezpiecza się przeciwko czemuś? W każdym razie moja chęć poznawania świata trochę osłabła. Teraz zadowala mnie, jak sobie pojeżdżę rowerem po Holandii. Niemcy też są fajne. Tak, tak, wiem, to trochę beznadziejne, nic jednak nie poradzę. Na samą myśl, że miałabym spędzić urlop w Afryce albo w Chinach, oblewają mnie siódme poty. Arthur chciałby pojechać do Japonii, tylko że ja się boję. Choćby dlatego, że Japonia leży tak blisko Korei Północnej.

Może i coś tracę, ale uważam, że taki tydzień w Drenthe czy na fryzyjskiej wyspie Terschelling też może być przyjemny. Żeby pozostać w świecie cyfr: siedem z plusem.

Jeśli o mnie chodzi, to najbardziej bym chciał, żeby moja pięćdziesiątka minęła niezauważenie, ale Afra upierała się, że muszę hucznie obejść tę uroczystą okazję.

– Nie można pozwolić, żeby taki dzień przeszedł zwyczajnie – tłumaczyła.

– A dlaczego?

– A dlatego!

– No, na taki niezbity argument rzeczywiście nie mam odpowiedzi.

– Co, znowu najszcześniejszy byłbyś w domu? Nic ci się nie stanie, jak chociaż raz pomyślisz o innych. Oni bardzo by chcieli, żebyś przynajmniej w urodziny pogrzeł się w słoneczku ich zainteresowania.

Zastanawiałem się, czy nie przyznać się, że już od lat najchętniej unikam słońca, a jeśli już nie da się inaczej, to smaruję się kremem z filtrem 50. Tyle że on niestety nie chroni przed ludźmi.

Tylko że Afra powiedziałaaby wtedy: „Ale zabawne!”.

Cóż, kiedyś może i było zabawnie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz się z niej śmiałem. Może wtedy, kiedy wpadła ze

składanym krzesłem do dmuchanego basenu. To był jej najlepszy dowcip i śmiałem się do rozpuku. A ona najchętniej z miejsca utopiłaby mnie w tym dziecięcym baseniku.

Nie, jeśli idzie o rodzaj poczucia humoru, na pewno nie jesteśmy dobrani. Aż dziwne właściwie, że przez pierwsze parę lat naszego związku zupełnie nie zwróciłem na to uwagi. Nieuwaga przy poznaniu rujnuje niejeden związek.

x

Jeśli idzie o świętowanie moich urodzin: mniej lub bardziej się już z tym pogodziłem. W przyszłym tygodniu urządzamy ogrodowe party. A raczej Afra je urządza.

Jako pierwszych zaprosiła sąsiadów. Nie dlatego, żeby byli tacy fajni, ale dlatego, żeby zdusić w zarodku wszelkie ewentualne skargi o zakłócanie spokoju. Potem przyszła kolej na jej kumpelki z jogi, jej rodzinę, jej znajomych od pieszych wędrówek, dwóch kolegów z pracy, a do tego paru moich znajomych. Joosta, Stijna i Wouterera „przegapiła”, bo nie bardzo jej leżą. Sam ich zaprosiłem po golfie.

W miarę jak zbliża się ten dzień, coraz bardziej i bardziej jestem na nie.

– Jak już impreza się zacznie, spodoba ci się – uspokajał mnie Joost. – A zanim zdąży cię znudzić, skończy się.

6

W korku do Breukelen mam mnóstwo czasu, żeby się zadreć. W ostatnim czasie robię to z coraz większym zaangażowa-

niem. Od czasu, kiedy Joost stwierdził, że jestem za leniwy albo za tchórzliwy – lub jedno i drugie – na bogate i emocjonujące życie, tylko z trudem udaje mi się uwolnić od tej myśli. Rzeczywiście niewiele wyszło z planów, które miałem jako dwudziestolatek. Mało co zobaczyłem ze świata, nie przeżyłem żadnych szaleńczych przygód ani nie otoczyłem się wieloma zabawnymi i ciekawymi ludźmi.

Kiedy przyszedł czas na rozpoczęcie emocjonującego życia, zakochałem się w Afrze. I to po uszy. To troszkę pokrzyżowało mi plany.

Powiedziała, że uwielbia podróżować. Na pierwsze wspólne wakacje wybraliśmy się do Egiptu. Z dziesięciu spędzonych tam dni pięć Afra przesiedziała w toalecie. Rok później poleciliśmy do Meksyku i drugiego dnia zwędzili jej torebkę na targu. Prawie tydzień czekaliśmy na zastępczy paszport. To skutecznie zabiło jej miłość do obcych krajów.

– Po co jeździć gdzieś daleko, skoro tu blisko jest tyle pięknych miejsc, których nie widziałeś? – powtarzała potem i brzmiało to jak zaklęcie przeciwko przygodom. A mówiąc „blisko”, miała na myśli kraje Beneluksu i ewentualnie Niemcy. Francja niby też jest ładna, ale ten ich język...

I tak od lat robię we wrześniu wędrówki piesze po Drenthe, Luksemburgu albo po Szwarcwaldzie.

– Lepiej poza sezonem, bo jest troszkę taniej i spokojniej.

W zasadzie chciałbym pojechać do Patagonii i Laponii, do Japonii i Chin. Na samą myśl o jedzeniu czegoś pałeczkami Afra dostaje uderzeń gorąca.

Korek jest dłuższy niż normalnie. Stoję już od kwadransa za samochodem dostawczym firmy Volendammer Vishandel. RYBY! BO TAKIE SĄ SMACZNE!, krzyczy napis na tylnych drzwiach. Prawdziwych poetów muszą mieć w tej firmie.

7

Ostatnio coraz częściej dostaję na maila niechciane reklamy urzędzeń do wjeżdżania wózkami inwalidzkimi po schodach, elektrycznych wózków i wkładek na nietrzymanie moczu. Gdzieś tam jakiś specjalnie zaprogramowany komputer wywnioskował na podstawie odwiedzanych przeze mnie stron internetowych, że mój rozkład jest już nieźle zaawansowany. Oczywiście regularnie pojawiają się też oferty ubezpieczeń na wypadek pogrzebu. „Oni” najwyraźniej nie wiedzą, że Afra ubezpieczyła się już od wszystkiego, od czego można się ubezpieczyć. Na przykład na wakacje w Drenthe i okolicach mamy już stałe ubezpieczenie podróżeń. Na wypadek gdyby miał się na nas zawalić któryś z tamtejszych dolmenów.

Jedna z przyjaciółek Afry zgłosiła w zeszłym roku kradzież komórki na kempingu, ale nie dostała odszkodowania, ponieważ zdaniem ubezpieczyciela powinna mieć w namiocie trekkingowym sejf do chowania telefonu. Wtedy Afra zaczęła się zastanawiać, czy nie odstąpić od ubezpieczenia, uznała jednak, że zbyt dużo czyha wszędzie niebezpieczeństw.

– Mianowicie? – spytałem.

– A ty znowu z tymi swoimi naukowymi dociekaniem. Nie, nie, Arthur, tak się składa, że akurat nie mam pod ręką całego szeregu przykładów na możliwe nieszczęścia.

- Nie musi być cały szereg. Jeden mi wystarczy.
- Tak? To co byś powiedział na zamach?

Kiwnąłem głową, jakbym uznał to za dobry przykład, i nawet jej nie powiedziałem, że ubezpieczenia turystyczne nie obejmują zamachów terrorystycznych. Moim zdaniem żadne ubezpieczenia ich nie obejmują, podobnie jak ataków atomowych.

8

Byłem wczoraj na kremacji ojca jednego z sąsiadów. Za tydzień skończyłby dziewięćdziesiąt lat. Zrobiłem to z uprzejmości. Poszedłem dla sąsiada, nie dla zmarłego. Jego prawie nie znałem. Tylko parę razy widziałem go, jak siedzi pod parasolem w ogrodzie, trzymając książkę w trzęsących się od parkinsona rękach. Uważałem, że to wspaniale, że potrafi śledzić roztańczone litery, ale potem usłyszałem, że już od lat siedzi z tą samą książką.

Kiedy człowiek nie czuje smutku, zupełnie inaczej siedzi mu się w sali pożegnań. Zawsze mnie to zdumiewa. Ten ciepły nastrój, jaki potrafią stworzyć w krematoriach, gościnna, luźna atmosfera i przyjemny wystrój. Człowiek czuje się niemal jak w domu.

Nie, no, żartuję. Człowiek od razu chciałby się znaleźć na radosnym afrykańskim pogrzebie z muzyką, śpiewem i tańcami. Może nawet patetyczne zawodzenie Arabów jest lepsze niż lodowaty chłód, z jakim standardowe holenderskie krematorium wita swoich martwych i żywych gości.

To już lepiej wybrać się na cmentarz, przynajmniej kiedy świeci słońce.

Było czterdzieści siedem osób, które zdecydowały się oddać ostatni hołd zmarłemu. Albo może uważały, że nie wypada im nie przyjść. To liczba znacznie poniżej średniej. Bo ja zawsze liczę, ile osób przychodzi na pogrzeb. Rekord wyniósł dwieście pięćdziesiąt pięć. Ciekawe, ile przyjdzie na mój? Mam nadzieję, że o wiele więcej niż czterdzieści siedem.

W sali rozbrzmiewały dźwięki *Time to Say Goodbye* w wykonaniu Andrei Bocellego i Sarah Brightman. Numer jeden na holenderskiej liście pogrzebowych przebojów.

Są na niej jeszcze Paul de Leeuw, Marco Borsato i Claudia de Breij. Claudia de Breij jest tu reprezentowana piosenką *Czy mogę do ciebie zajrzeć?* Co jest w zasadzie dziwne, bo przecież to „do ciebie” odnosi się chyba do tego, który leży w trumnie... tak mi się przynajmniej wydaje. Vera Lynn i Mieke Telkamp wypadli z Top 10. Właściwie szkoda. Może wpiszę ich na moją własną listę, na zasadzie niespodzianki. Albo jeszcze lepiej – niech to będzie piosenka biesiadna *W korytarzu stoi koń* André van Duina.

„Proszę Państwa, oto ostatni żarcik, wybrany dla was przez samego zmarłego”.

Jeśli przychodzi czas czyjejs kremacji czy pogrzebu, Afra dostaje najczęściej migreny. To żaden problem, bo ja i tak wolę chodzić sam. W przeciwnym razie musiałbym, zwłaszcza na cmentarzu, spory kawał drogi trzymać ją pod rękę, żeby udawać wsparcie i zatroskanie.

II

Studiowałam psychologię na Uniwersytecie Amsterdamskim. To były najszczęśliwsze lata mojego życia, myślę sobie teraz. Na drugim roku poznałam Arthura na jakiejś studenckiej imprezie. Był bardzo zabawny i szarmancki. Dzisiaj niewiele już z tego zostało. Tylko od czasu do czasu udaje mu się mnie rozśmieszyć.

Jeśli mam być szczerą, to muszę przyznać, że ja też nie stałam się atrakcyjniejsza, i mam na myśli nie tylko aparycję.

– Czas łaskawie się z tobą obszedł – powiedział mi niedawno Arthur. Wydało mi się to takie słodkie z jego strony, chociaż zaraz dodał, że to nie on tak pomyślał, tylko że to Joost, jeden z jego przyjaciół, zawsze tak mówi do żony.

Jak na swój wiek rzeczywiście wyglądam jeszcze całkiem pociągająco. Jeden z niewielu plusów braku potomstwa. Wciąż jeszcze zdarza się, że jakiś mężczyzna próbuje ze mną poplirtować. Wprawdzie przeważnie są to faceci po sześćdziesiątce, ale zawsze...

Kiedy poznałam Arthura, studiował antropologię kulturową. Musiał wybrać ten kierunek ze względu na ciekawą nazwę, bo jakoś nigdy nie udało mi się go przyłapać na specjalnym zainteresowaniu obcymi ludami. Po tym, jak na zaliczenie pierwszego i drugiego roku potrzebo-

włał prawie pięciu lat, jego ojciec postanowił nie płacić już dłużej za jego studia i Arthur musiał pójść do pracy. Najpierw w sklepie z rowerami w Amstelveen, a potem w hurtowni artykułów sanitarnych w Breukelen. Dość daleko, ale akurat wtedy praca nie leżała na ulicy. Pracuje tam już ponad dwadzieścia lat i został szefem działu kupna i sprzedaży.

Myszę, że tam, w Breukelen, między rolkami papieru toaletowego czuje się całkiem dobrze. Chociaż wkurza go, kiedy robię sobie żarty na temat papieru toaletowego.